

350 / 1973 / 37

Wyd. z dubl. Bibl. Uniw. w Lubli

Wublesy

Nr 1.

Warszawa, dnia 23 Grudnia 1900 r. (5 Stycznia 1901 r.)

Rok XXXVII.

BIUSZCZ.

PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie rocznie rs. 7 kop. 20; półrocznie rs. 3 kop. 60; kwartalnie rs. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rs. 2 kop. 50; półrocznie rs. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG**

EKSPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY
Ulica Włodzimierska № 4.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina; kwartalnie flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół. kwart. 5 marek.

ZYGMUNT NOSKOWSKI.

Sylwetka jubileuszowa.

Cicho, bez rozgłosu, upłynął jubileusz 35-letniej działalności kompozytorskiej dyrektora Towarzystwa Muzycznego, Zygmunta Noskowskiego. Talent twórczy i wytrwała praca pedagogiczna autora „Morskiego Oka” i „Stepu”, dwóch znakomitych poematów muzycznych, są tej miary, iż o nich zapominać się nie godzi.

Skwapliwie też korzystamy ze sposobności, aby o dzielnym kompozytorze i świetnym pedagogu, słów kilka wypowiedzieć.

Świadczą ci, co Noskowskiego znają dawno, iż objawiał on od wczesnej młodości talent i niezwykłą pamięć muzyczną. Urodzony w 1846 r., Zygmunt Noskowski, studia muzyczne rozpoczął w Konserwatorium Warszawskim, które ukończył w 1867 roku. Z czasów tych wyniósł wspomnienie jak najlepsze. Sam o tem mówi w szkicu własnym: „Dwie kolędy”*), gdzie się z uznaniem wyraża o kierunku Apolinarego Kątskiego, o niespożytej energii założyciela Instytutu.

Na wieść o otwarciu kursów — mówi Noskowski — sygnęli się ze wszystkich zakątków kraju żądni nauki adepci. Zapał dla sztuki był tam prawdziwy i połączony z dziwną skromnością.

W czasie pobytu w Konserwatorium, Jubilat dzisiejszy



Zygmunt Noskowski.

napisał Kolędę, która w d. 23 grudnia 1865 roku ukazała się na szpaltach „Tygodnika Ilustrowanego”. O tym pierwszym utworze, sam autor pisze: „Napisałem ją, mając lat 15, do słów innych, z powodu których pieśń leżała bezużytecznie i byłaby może poszła w zapomnienie, gdyby nie Stanisław Rzętkowski. Usłyszał on tę kolędę i powiedział mi, że dorobi do melodyi inne słowa, nadając się do druku. Jakoż uczynił to niebawem, a gdy kolęda, w nowej szacie, przepisana, dostała się do rąk redaktora Jenikego, dowiedziałem się, że pieśń wyjdzie w „Tygodniku”, jeżeli Moniuszko wyda o niej zdanie przychylnie.

Rzętkowski zaniósł tedy nuty do Moniuszki, którego już znał, ja zaś uchylilem się od pójścia, gdyż mi zabrakło odwagi, przypuszczałem bowiem, że mistrz, zobaczywszy nieznanego młodzieniaszka wyprosi go za drzwi, nie obejrawszy nawet jego utworu. Deptałem tedy bruk na ulicy Czystej, kręcąc się koło domu, w którym mieszkał twórca „Halki”. Tam przecież rozgrywały się moje losy, więc z biciem serca oczekiwałem ukazania się przyjaciela, a gdy się wreszcie zjawił, a z twarzy jego wyczytałem wieść pomyślną, o mało z radości nie wywróciłem koziołka. Moniuszko pochwalił Kolędę, kazał tylko porobić małe zmiany w towarzystwie fortepianowem, polecając, abym osobiście z poprawkami stawiał się u niego.

„Rozumie się, że teraz już poszedłem do „pana dyrektora” bez obawy. A jednak stanawszy przed mistrzem, którego z takim ogniem wywo-

*) Zob. Nr 355 „Kur. Warszaw.” 1900 r.

BIBLIOTEKA SZCZEPAŃSKICH

Nr 1821



Cz 434 / 37 < 1901 >



272 119/1

STULECIE.

ływałem na wszystkich pierwszych przedstawieniach jego oper, którego całe śpiewniki umiałem już wówczas, jak i dzisiaj umiem, na pamięć — doznałem uczucia tak dziwnie bojaźliwego szacunku, że w pierwszej chwili słowa nie mogłem przemówić. Głos mi zamarł w krtani. Lecz łagodny głos mistrza i parę słów zachęty przywróciło mi równowagę, a dobroć, z jaką przeglądał Kolędę i przychylnie się o niej wyrażał, przejęła mnie szczerą wdzięcznością.

Tak prosto i serdecznie opowiada Noskowski o pierwowcinie swego talentu.

Moniuszko był potem jego nauczycielem w kompozycji. Nie dał się zwabić pokusie łatwo zyskanego powodzenia — mówi jeden z biografów przez oddanie natchnienia na usługi twórczości rzeczy lekkich „od ucha” i po ukończeniu pierwszego okresu nauki kompozycji pod kierunkiem Moniuszki, młody muzyk, choć już miał w tece ilustracje muzyczne do bajek Krasickiego („Zajączek”, „Dzieci i żaby”, „Stary pies”, „Dwa zółwie”), oraz „Pieśń o Sławoju”, pierwszy cykl „Krakowiaków” na fortepian, melodją na wiolonczelę, cztery pieśni do śpiewu i chór męzki — wyjechał w 1873 roku za granicę.

Otrzymał stypendjum Towarzystwa Muzycznego i pojechał studjować kontrapunkt do znakomitego pedagoga Fryderyka Kiela w Berlinie.

Działalność w szerokim stylu rozpoczął Noskowski od wspaniałego poematu muzycznego p. t. „Morskie Oko”. Dzieło to zjednało twórcę sławę u swoich i u obcych. Potem szły symfonie „A dur” i „D-dur”, kwartety na instrumenty smyczkowe, cykl krakowiaków na cztery ręce, drobne utwory, pieśni orkiestrowe do śpiewu i etc.

Wszystkie te utwory drukowały się w Londynie, Lipsku, Wrocławiu i Medjolanie; wszędzie też na szerokim świecie ukazują się na programach koncertowych.

Oprócz tego Noskowski napisał: muzykę do melodramatów „Wiara nadzieja i miłość”, „Chata za wsią”, „Dziewczę z chaty”, „Szkice węglem”, „Dla świętej ziemi”, do Fredrowskiego „Nowego Don-Kiszota”; dalej napisał: cykl pieśni na chór p. t. „Wędrowny grajek” i kantatę „Janek”.

A któż nie pamięta „Świtezanki” Noskowskiego, albo kantaty do słów psalmu: „Kto się w opiekę”?

Prześliznem również dziełem Noskowskiego jest „Step” oraz „Polonez elegijny” na orkiestrę.

Dotychczasową działalność kompozytorską Jubilata wieńczy opera trzyaktowa, p. t. „Livia Quintilia”, którą mamy usłyszeć na scenie warszawskiej.

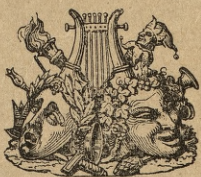
Noskowski jest świetnym dyrektorem orkiestry. W tym kierunku zjednał on sobie sławę w Niemczech i w Konstancyi.

Od r. 1881 piastuje godność dyrektora Towarzystwa Muzycznego w Warszawie, które Noskowskiemu zawdzięcza rozwój niepospolity.

Jako profesor kompozycji w Konserwatorium Muzycznym, stworzył szkołę, do której się zaliczają: Melcer, Maszyński, Rzepko, Gawroński, Joteyko, Pilecki, Starczewski, Konopasek, Piotrowski, Marczewski i t. d.

Dziś Jubilat, który przytem jest doskonałym recenzentem muzycznym w „Kurjerze Porannym”, znajduje się w pełni sił twórczych na polu kompozycji i niewątpliwie napisze jeszcze długi szereg dzieł prawdziwie wartościowych.

Bemol.



Kto ma własny swój kawał zagonu, zaorze go, zasieje sobie z wiosną spokojnie przy śpiewie skowronków, stanie do żniwa latem, w jesieni plon swój zgromadzi, zabezpieczy, może potem patrzeć spokojnie zachodzącemu słońcu w oczy i nietruwożyć się ani odlotem żórawi, ani krakaniem wron zwiastujących niedaleką zimę. Gdy śniegi stopnieją, znów będzie szedł ręką w rękę z ziemią, będzie orał, siał i zbierał, a potem będą to samo czynili jego synowie i wnuki...

Ale tak, dzieć się może tylko na małym, własnym zagonie. Są jednak pola szersze, rozległe, stuletnie, międzami wieków rozdzielone, z granicznymi kopcami wielkich wydarzeń, ze strachami klęsk olbrzymich, z urodzajami postępu, w których dojrzewa ludzkość, lub z głodem dueba, który niszczy całe pokolenia. To są wielkie zagony — czasu, na których ci, którzy orzą i sieją, najczęściej nie widzą już pełnych kłosów żniwa, a żniwiarze nie mają już czasu używać plonu, którym przychodzą się żywić dalecy siewców potomkowie. Taka rola, to wielka własność ludzkości — Stulecie.

W obecnej chwili stoimy między dwoma takimi zagonami, jeden za nami, drugi leży przed nami. Spojrzawszy uważnie, dostrzeżemy łatwo że najważniejszym czynnikiem na tej wiekowej glebie jest stanowisko — siewców. To, co oni zasieli staje się pracą synów, a dziedzicznym dorobkiem wnuków. Oto tam — przypomnijmy sobie, na początku stulecia, na rozoranej krwawymi wojnami ziemi, stanęli ludzie o świetnych ale niespokojnych myślach, siali bajroniczną ironię, wolterowskie szyderstwo, heinowskie zwątpienie, francuską niewiarę, angielski egoizm i niemiecki „weltschmerz”; na niespokojnych jeszcze ponapoleońskich gościńcach wlokły się smutne niedobitki poprzedniej epoki, a że różę szczęścia jakoś nieodrązno kwitły na nowo wśród politycznego chaosu, więc pierwsze pokolenia w stuleciu narzekały, ronily lzy prawdziwe i udane, drapowały się na nieszczęśliwców i bohaterów i bałamucając czas w okropny sposób, siały bardzo niebezpieczne ziarna zniechęcenia, goryczy, pesymizmu, fałszywego smutku, co rdzą oksydować zaczął nawet obronne dusze genialnych ludzi, którzy naraz stanęli do szeregu w całej europejskiej gminie, zwróceni twarzą do ludu, z głową w błękitach ideału, rzucili kilkanaście cudownych hasel pod którymi odrodził się świat. Zaczęło się wielkie żniwo ludzkiej myśli, wiedzy, natchnienia, woli, dojrzałości; rozbiły się genjusze, bohaterowie i elektryczność; wyprostowała się bardzo społeczna droga, oświecił się tłum, otworzyły się szkoły, przemówiły parlamenty, zawiązały się stowarzyszenia, rozwinął się przemysł, i życie to całe, wspólne, ruchliwe, szalonym pędem pary rzuciło się naprzód — do pracy.

Praca ta jednak w pogoni za zyskiem, traciła po drodze swe naczelną hasła, swe moralne podstawy; roznamiętniła się i zhardziała w powodzeniu, zaostrzyła w wzajemnych starciach i ciągłym pościgu, jednych przed drugimi, aż zwyrodniała w walkę o byt i stała się — zbrojnym pokojem, czyli pozorną cywilizacją dzikich instynktów, które się wstydzą wydzierać coś sobie otwarcie, ale nie wzdrygają się przed niezem potajemnie.

Anglia zaczęła dusić Indye i w wschodnią bawelnę owijać swe zbrodnie, irlandzkie, kolonialne, a dalej wszystkie inne, a Bismark nożykiem Szyloka zaczął amputować sumienie Europy.

Wspaniałe żniwa różnych dorobków ducha i złota leżały już jako rzekoma własność społeczeństw, ale porządni i uczciwi żniwiarze zaczęli się spostrzegać, że tymi plonami frymarchą, zli kupey, zdradliwi nabywcy, cała giełda podstępnie i krwawy owoc pracy stuletniej wywożą na targi wyzysków i egoizmów, zostawiając tłumy szlachetnych pracowników w bolesnym zdu-

mieniu, w niedostatku, w posępnej zgryzocie zawodu. I wtedy, przypomnieli się tej zmęczonej rzeszy melancholie i zwątpienia siane z początkiem stulecia; chwycili się żalostnego echa, i w podrażnionych sercach, w rozniepokojonych głowach, w poszarpanych nerwach, przerobili je na dzisiejsze, z końca wieku, schyłkowe, bezdenne, groźne zniechęcenie.

I dziwna rzecz, przy tak wszechstronnym, olbrzymim plonie jaki na łanach kończącego się stulecia widzimy, ludzie stoją smutni, kwaśni, zrażeni, nieufni, rozstrojeni duchem i ciałem. Bo coś krzywo poszło między tą pracą — a tym plonem. Tej pracy olbrzymiej nie dźwigał jeden, wielki, moený, jednolity — atlas społeczeństwa, lecz podpierali ją pewni ludzie, pewne warstwy tylko, a plon w lwiej części zabierał — nie biblijny, dobry bogaty Boos, który pokłósie za sobą zostawia dla wszystkich, lecz pogańsko cheiwy i zuchwały barbarzyńca — Krezus, który się z nikim nie liczy.

Jakiś ciężki zawód wisi w powietrzu, a do tego łączy się niecierpliwiące poczucie bezsilności, wobec takich Krezusów, którzy n. p. zyskawszy miliony Gangesu, drapiezną ręką kładą na złotych żyłach Afryki i wmawiają w świat wyzuty z sądu i z opinii, że to się dzieje, w imię cywilizacji i kultury!

Ludzkość te ohydne krzywdy czuje i zakłada ręce z leniwą rozpaczą nad oplakanem żniwem swych stuletnich wysiłków.

A wrota przyszłości, tuż, tuż, otworzą się na nowe pracy — Stulecie...

Nad tą stuletnią rolą stoimy dziś jako — siewcy, bo to co my obecnie czujemy w dusze naszych dzieci, czem je uczynimy, co z nich zrobimy, tem oni będą i takim będzie żniwo przyszłego wieku i takim będzie jego w przyszłości schyłek i dorobek.

Tak patrzymy i mówimy o tym wieku dwudziestym, jakby on skądś z nieba miał nam spaść, już gotowy, ogromne przynieść nam niespodzianki i największe nasze spełnić marzenia. A tymczasem, on będzie takim, jakim go ukształtujemy, sami, co mu damy i on nam odda po pewnym czasie, najlogiczniejszą w świecie drogą zbierze pokolenie naszych prawnuków to, my dziś posiejemy w duszach synów. Oni są teraz w naszych rękach, w naszej mocy, mali, czteroletni, dziesięcioletni, wrażliwi jak wosk, podatni do wszystkiego; obrabiamy więc tę urodzajną glebę psychiczną, podnośmy kulturę tego czarnoziemnego ducha, gospodarujmy umiejętnie i serdecznie na tej naszej własności rodzinnej, która jest zarazem wspaniałą królewską spuścizną społeczeństwa naszego i nietykalnym majorem ludzkości.

Tego świętego, młodego zagonu myśli, uczuć, porywów, zapałów, nie wolno nam obdłużać naszym pesymizmem, nie wolno dzielić i kawałkować na naszą zeszlowieczną gorycz, zniechęcenie i obojętność; nie wolno nam tego skarbu młodości brać sobie procentów pociechy i nadziei, a wzamian zwać mu na głowę ciężar naszych wspomnień, strat i zawodów; wszystko to zatrąłoby wiosnę tego stulecia, zniszczyłoby gradem jego dojrzewające plony i sprowadziło głód ducha i wycieńczenie na tamtych ostatnich, najmłodszych, którzy przyjdą.

Co myśmy przeszli w wieku ubiegłym, to już jest przeszłość, należy do historii rodzin lub świata i jest od nas tak dalekie jak Troja i Kartagina; nie czynimy więc z tego co było dla nas może trudne, ciężkie, bolesne, ale już minione — jakiegoś chińskiego muru dla młodego pokolenia, które wcale nie powinno głowy sobie rozbić o to co nam przeszkadzało, bo będzie miało swoje własne trudy, walki i starcia.

Byłby to wielki egoizm karmić młodość starymi wspomnieniami, które nam duszę może pieszczą, ale dla tych, którzy idą naprzód, są rdzą na skrzydłach i gaszą uśmiech na licach w przyszłość życia zwróconych. Umiejmy na tym progu stulecia zapomnieć o sobie i stać się pogodnymi siewcami złotego ziarna rzucanego w słoneczny poranek, pod radosnym hymnem skowronków. Umiejmy się sami na nową dobrą

wola odrodzić i to czego nam najbardziej brakowało stwarzamy w zastępie naszych potomków.

Jak są błędy, z których się jednostka lata całe poprawić nie może, tak są wady z których się społeczeństwa otrząsnąć nie mogą nawet na przestrzeni stuleci. Byłoby więc bardzo mądrze, gdybyśmy weźmiemy działać zaczęli przeciw fatalnemu dziedzictwu, które w nas nie wygasło, a w skłonnościach potomków naszych utajone się gnieździ. Więc oduczajmy ich szumnej próżności, która jest chwilowa i kosztowna, a wprawiajmy do skromnej, wytrwałej, codziennej pracy, która jedynie daje zabezpieczenie spokoju. Oduczajmy ich frazesowego gadulstwa, które nie stwarza, a pochłania w sposób przerażający czas, w którym można było dużo pożytecznego zdziałać — mileząc. Oduczajmy ich efektownych, świetnych, nadzwyczajnych programów, obietnic, hasła, a wpajajmy sumienną słowność w rzeczach małych, codziennych, powszednich, a znajdzie się ona i na ważniejszą sposobność, ma odpowiedzialniejszą chwilę. Oduczajmy ich tej młokosiej porywczoności, która nie sobie z nieczego nie robi i z dojrzałych ludzi czyni ordynarnych awanturników, a wpajajmy im szlachetną moc nad sobą, która jest jedyną tarczą przeciw burdom nieokielzanych gruboskórców. Zdmuchnijmy im te fałszywe fajerwerki przesadnego, teatralnego uniesienia dla byle czego i dla byle kogo, a nauczmy ich cześć prawdę, wielbić istotne piękno i szanować ludzi pracy czy ciężkiej wyrobniczej, czy też genialnej, natchnionej. Ukróćmy w nich nerwową, chorobliwą dziś w nas chętkę rozgłosu i pochlebstwa, a wszczepiajmy na całą głębokość godności ludzkiej, poczucie istotnego honoru, który się nie daje ani obrażać ani przeproszać. Starajmy się przytłumić ten niebezpieczny, bezduszny dziś u nas kult pieniądza, te choroby złota, na którą raz nią dotknięte i najlepsze nawet dusze w końcu umierają, a wykształćmy w nich zamiłowanie porządku, oszczędność i obowiązkowość wobec posiadanej fortuny lub obranego zawodu. Gaśmy w nich fałszywy, niski i brudny żar zmysłowości, a nieśmy iskrę prawdziwej, gorącej, wielkiej miłości, która daje szczęście, i moc, i spokój, i honor, i równowagę i słowność i wiarę.

Siejmy to wszystko pełną garścią, poważnie, serdecznie i wesoło, a usłyszymy na starość cudowną pieśń ukochanych, naszych, rodzonych zniwiarzy, płynącą ku nam z szerokiego łanu stulecia i spokojnie myśleć będziemy o końcu wieku, który dobiegać będzie swego kresu wśród społeczności zdrowej, mocnej, zasobnej we wszystkie pierwiastki i warunki długiego w przyszłości — żywota.

Szczęсна.



SARYUSZ.

WIEŻY DUCHA

POWIEŚĆ.

C Z Ę Ś Ć I.

I.

„Tyle życia, co jest w pieśni,
Tyle szczęścia, co czeka prześni”.

W gabinecie wiejskiego dworu siedział pochylony nad biurkiem Bohusz Sokolnicki, dziedzic Bohatyrki.

Był to mężczyzna niepospolitej urody. Wysoki, dobrze zbudowany, miał głowę szlachetnie i dumnie wzniesioną, nos orli o ruchomych nozdrzach, czarne kręcone włosy, cerę smagłą i ogorzalą, czoło wysokie i myślące, brwi czar-

ne mocno zarysowane i cudne, czarne, marzycielskie oczy.

Skończył i odsunął swą pracę i widocznie upatrywał czegoś na biurku, przewracając nerwowo między papierami i wysuwając wszystkie szuflady i skrytki.

Brwi mu się groźnie zbiegły nad czołem. Za dzwonek chwycił.

We drzwiach ukazała się służąca.

— Prosić pani! — rzucił.

Po chwili w pokoju zjawiała się kobieta szczupła, niska, dziwnie sympatyczna. Jasne włosy z prostotą w grecki węzeł ujęte, siwe oczy pełne łagodności i słodyczy nadawały tej twarzy nieco za bladej i za smutnej niezwykle powab.

— Gdzie jest ów dokument, który dziś przesłać miałem Bergmanowi? Gdzieżeś mi go zapodziała? — zabrzmiał głos pana.

Kobieta zbliżyła się do biurka.

— Musi tu być między papierami.

Szukać zaczęła.

Mężczyzna, śledząc ruchy jej rąk, zerwał się i stanął. W miarę daremnych poszukiwań, brwi mu się zsuwały coraz groźniej, oczy błyszczały

— Aa! — krzyknął wreszcie, pięścią w stół uderzając — że też nie tutaj utrzymać nie można! Kiedyż będę panem własnego kąta? Kto tu śmiał przewracać na mojem biurku? Papier ten dziś przesłać muszę. Jeżeli natychmiast się nie znajdzie, cały dom na cztery wiatry rozpedzę!

Rękę po dzwonek wyciągnął.

Żona mu przeszkodziła.

— Na miłość Boską! — zawołała śpiesznie — oni przecież nie winni. Ja sama robię tu porządek. Zlituj się, poczekaj, chwileczkę poczekaj... ja znajdę, znaleźć muszę...

Na nowo szukać zaczęła. Na twarz jej wystąpiły rumieńce, ręce drżały od gorączkowego pośpiechu.

On przyskoczył do obok stojącej szafki, trzęsącymi się rękoma nalał sobie kieliszek wina i wypił, poczem odsunął się, śledząc jej ruchy i ciężko dysząc.

— Na Boga! — zawołał wreszcie — ty mnie do ostateczności doprowadzasz. Albo i to.. Dla czego pozwoliłaś zostać Walentemu, wiedząc, że go wypędzilem? Jak śmiałaś się rozporządzać? Kto cię do tego upoważnił?

Ona zbladła i prędko, urywanym głosem, mówić zaczęła:

— Bohuszu, wiem, że słuszny jest gniew twój; wiem, że Walenty zawinił; ale on ma ciężko chore dziecko... Gdzież się z nim tulać pójdzie? W ciągu kwartału trudno o służbę...

— A! niech przepadnie ten hultaj ze swym bachorem! Dla tego samego, żeś się śmiała mnie sprzeciwić, dziś go jeszcze wyrzucę, do rana go tu nie ścierpię! Pamiętaj, niech go oczy moje więcej nie ujrzą, bo żywy nie wyjdzie!

— Bohuszu, zlituj się, wspomnij na naszą Hanię, dla niej zrób to ustępstwo. Jego dziecko umrzeć może w drodze, a ja znam cię, wiem, żebyś sobie nigdy tego nie darował.

Chwyciła go za rękę, patrząc mu w oczy błagalnie.

Odepchnął ją i szybko przechadzać się zaczął. Pierś mu falowała, oczy świeciły się jak stal wyostrzona, nozdrza rozdymały gwałtownie.

Po chwili zatrzymał się.

— I cóż? — spytał.

— Niema — szepnęła zbladłymi ustami.

Nagle drgnęła i odstała od biurka — on bowiem do otwartej szuflady skoczył i raz jeszcze między papierami szukać i przewracać począł, a nie znalazłszy, całą plikę papierów z wściekłością w nią rzucił, poczem chwycił papierowe pieniądze, jakie mu wpadły pod rękę i darł je z jakąś dziką, gwałtowną, nienasyconą pasją.

Nie bronila mu tego, nie powiedziała ani słowa. Stała wsparta o biurko, niema jak posąg rozpaczny.

W tej chwili przez uchylone drzwi wbiegła, niby jasny promyk słońca, prześliczna dziewczynka

Włosy jak len jasne spadały jej w puklach

na ramiona, okalając z lekka zarumienioną twarzą rysach bardzo delikatnych i poprawionych. Duże, czarne, głębokie, rozmarzone oczy, ocienione gęstymi brwiami i niezwykle długimi rzęsami, miały w sobie ogrom smutku, i zmienność wyrazu i fosforyczny blask wody morskiej. W tej chwili świecił w nich wyraz niepokoju.

— Tatu! tatu! — zawołała.

Zdawało się przez chwilę, że mężczyzna rzucił się na te słabe istoty; dziewczynka śmiało podniosła główkę do góry i prosiła:

— Tatusiu! uspokój się, tatusiu!

Oczy jej wyrażały ból i pogardę, a on w nią wpatrzony cofnął się i padł na fotel, a w miarę jak patrzył, przyćmiewały się płomienie w jego oczach, gasły jedna po drugiej iskry w źrenicach, a pierś falowała coraz wolniej.

Od dziewczynki tego spływało nań ukojenie i spokój.

Ona zaś przytuliła się do matki i całowała twarz jej wybladłą i leż pełne oczy.

— Mateczko, złota mateczko! — szeptała, wprowadzając matkę w odległy kąt pokoju — musiałaś pewnie znowu wstawiać się za kim, lub jaką winę przyjąć na siebie. O, jaki ten tatko niedobry!..

— Ojciec miał słusność, gniewając się, moje dziecię; wiesz, jaki jest słowny, a z mojej winy stracił dokument, który dziś miał przesłać.

— Ty zawsze wszystkich łomaczysz, mateczko, ja wiem, że zawsze cierpisz niewinnie.

— Haniu, ojciec wypędził Walentego. Musiał to zrobić dla przykładu innych; bywają obowiązki nieublagane i surowe; ale sam cierpi nad tem, zwłaszcza, że biedakowi nagle dziecko zasiało. Gdy go dziś przywoła, przyjdź i wstaw się za nim. Ojcu nie wypada słowa cofać, a uciesz się, gdy na twoje prośby będzie mógł zrobić to ustępstwo.

— Dobrze, moja święta, moja anielska mateczko.

Tuliły się do siebie i szeptały cichutko, by ich ojciec nie słyszał; ale Sokolnicki ani spojrział na żonę. Jego oczy przykuwała ta postać dziewczęcia o złotych włosach matki, a jego dumnym spojrzeniu.

— Halu! — odezwał się nakoniec — zaśpiewaj mi, Halu!

W jego głosie był dźwięk tak miękki, błagalny, łagodny, jakiego trudno byłoby się po nim spodziewać.

Hania rzuciła na niego surowe wejrzenie.

— Nie mogę śpiewać, tatu — odparła.

Nie odrzekł ani słowa, tylko mu oczy zabłyśły. Niecierpliwym ruchem ręki przesunął palcami po kędzierzawych włosach, zerwał się, skoczył do szafki, chwycił za butelkę i drżącą ręką do ust ją poniósł.

Z piersi kobiety wydarł się jęk cichy.

— Haniu — szepnęła z wyrzutem — ojcu się sprzeciwiać nie można.

Dziewczynka smutnie zwiesiła główkę i leciuchno wysunęła się do przyległego pokoju. Po chwili, dał się słyszeć akompaniament, a wraz z nim popłynęła rzewna piosenka.

Na dźwięk jej głosu Bohusz pić przestał i obie ręce poniósł do czoła. Tarł czoło, jakby oprzytomnieć pragnął, aż w końcu uśmiech uniesienia i zachwytu przemknął mu po ustach. Z tym uśmiechem usunął się na krzeselko.

Po chwili Hania śpiewać przestała i przybiegła do matki, ale pani Maryi nie było już w pokoju.

Sokolnicki na szelest jej kroków podniósł głowę i obie ręce ku niej wyciągnął.

— Haniu moja — szepnął prawie nieśmiało — pocałuj mnie, Haniu!

Chciał ją pochwycić w ramiona, ale dziewczynka wymknęła mu się i wybiegła.

Sokolnicki potoczył zamglonym wzrokiem dookoła, poczem powstał i chwycąc się szedł za nią, potykając się co chwila o rozmaite przedmioty. Na ganku o mało nie upadł, ale przytomna dziewczynka skoczyła, przytrzymała go i podprowadziła na ławkę.

On też korzystając z tego otoczył ją tklawie ramieniem i namiętnie całować i pieścić począł. Dziewczynka z widoczną niechęcią przyjmowała te objawy uczucia, a Sokolnicki gładząc jej włosy i wpatrując się w nią z zachwytem i z nieopisaną czułością, majaczył.

— Sławną będziesz, Halinko. Dla ciebie kwiatów wieńce i tłumów okrzyki. Ty sercami władać będziesz i tłumy porywać... Ty zrobisz to, czego ja nie mogłem!... A ja nie powiem ci, że wstąpieniem na teatralne deski możesz zhańbić ród Sokolnickich. Nie! ja ci tego nie powiem. Ja nie odbiorę ci tej potęgi talentu, nie stłumię w tobie tego poczucia własnej wielkości i siły...

Dziewczyńce śmiały się oczy do tych wypowiedni, ale z wzdorczym uśmiechem słuchała tych reminiscencyj i marzeń ojca.

Nagle błysnęło, długi, przeciągły grzmot rozległ się w dali, niebo zaciągnęło się ołowianymi chmurami, burza wisiała w powietrzu.

Pani Marya wychyliła się przez okno.

— Zganiajcie! zganiajcie co tehu wszystko?— wołała—tylko patrzeć jak deszcz spadnie.

Na głos ten, Sokolnicki oprzytomniał, przetarł ręką czoło, spojrzął na żonę i dziwny uśmiech przemknął mu po ustach.

— Marya!—rzekł tylko, ale z takim wyrazem jakby w tem słowie mieściło się całe źródło jego nieszczęść i zawodów.

Po chwili znów mu się oczy zamglily, pochylił głowę na poręcz ławki i zaczął szukać w myślach przerwanego wątku swych marzeń.

— O czym ja to myślałem?... Ach prawda, ja snem artysty roilem... umarły marzyłem o życiu...

I począł mówić coś niewyraźnym szeptem, ale w teje chwili dziewczynka wskoczyła mu na kolana i jak ptaszyna przechylając wdzięcznie główkę, szczebiotała:

— Ja wiem, tatuńciu, co ty mówisz, ja teraz wszystko wiem... Ty miałeś iść w świat jako wielki i sławny śpiewak... ale dziadus umierając kazał ci się ożenić z moją mamusią i pracować na wsi... I to dobrze się stało, o dobrze, tatuńciu, bo gdyby było inaczej, jabym wtedy nie miała mojej mamusi...

Głos jej drgnął wielkim rozrzewnieniem i uczuciem. Objęła jego szyję drobnymi ramionkami i mówiła.

— Bo to widzisz, tatuńciu, ty nawet nie masz pojęcia, jaka mamusia jest dobra... Ona się ciebie tak lęka i nie śmie mówić do ciebie, bo twoje oczy, tatusiu, tak błyszczą i tak na nią dziwnie patrzysz... nie tak jak na mnie, o nie tak... I nie mówisz do niej nigdy tak, jak do mnie i nie popieścisz jej nigdy, nigdy, a ona płacze tak często... A o niej, tatuńciu, ludzie mówią że święta, że anioł i ona jest prawdziwy anioł, tatuńciu...

A on, jakby budząc się ze snu, podniósł na nią zamglone oczy i szepnął.

— Mów dziecko... twój głos jak muzyka dźwięczny... mów jeszcze...

Ale ona zrozumiała, że ojciec wsluchuje się tylko w jej głos a nie w znaczenie słów i uczuła się jakby nagle zgaszoną, więc zcichła osunęła mu się z kolan i wybiegła.

A jemu wnet głowa zwiśla na piersi. Wiatr, co się zerwał i rozganiał chmury, chłodził mu rozpalone czoło i rozwiewał włosy. On na nie nie zwracał uwagi.

Woda szumiała, drzewa z głuchym jękiem przeginając się do ziemi szeleściły nad jego głową, a wicher świszcząc, łkał, zrywał liści tumany i miotał nimi, kłębił, rozwijał i rzucał o ziemię i skarżył się i szalał, jak człowiek, co kona z bólu, a on zbłądłymi ustami powtarzał machinalnie ulubioną swą zwrotkę:

„Gdzie mój zapal? gdzie hart woli? gdzie
[światlanych marzeń błyski?
Gdzie ta wiara w Boga, w ludzkość, której
[strzegłem, od kołyski?

Gdzie kult wiedzy, ideału, gdzie potężnych
[czynów hasło?

Wszystko martwe, wszystko nagle jako błędny
ognik zgasło...”

II.

„Nieraz spotykam jakie dobro, jakie pocziwe uczucie wraz ze łzami uronione, przy drodze. Wielkie nieszczęście wywołuje po większej części odpowiedni sobie grzech i upadek.”

Gabriella.

Pan Bohusz będąc w uniwersytecie studiował prawo, ale — pracował nad wyrobieniem swego głosu.

Profesorowie śpiewu przepowiadali mu świetną przyszłość, wróżyli, że dorówna najznakomitszym europejskim śpiewakom i dla dalszego kształcenia radzili udać się zagranicę.

On też zaraz po ukończeniu fakultetu miał wyjechać do Mediolanu. Niebo południa, drużyna braci po duchu, artyzm, sztuka, wiedza pociągały go niesłychanie.

Tymczasem umierający ojciec wezwał go do siebie i zaklął w imię uczuła rodzinnych, pod groźbą przekleństwa, aby nie opuszczał Bohatyrki, spłacił jej długi posagiem żony i pracował na roli, która od lat kilkuset pozostawała w ich ręku.

Bohusz pod groźbą śmierci zaprzysiągł, a choć potem buntował się i targał z sobą, on, Sokolnicki danego słowa złamać nie umiał.

Gdy z nowozaślubioną małżonką, której prawie nie znał, bo zenił się z nią jedynie dla posagu, wjeżdżał do Bohatyrki, a las powitał ich swym poważnym szumem, jemu żywiej serce zabiło w piersiach. On już w tej chwili uczuł, że budzą się w nim wszystkie wspomnienia dzieciństwa i odziedziczone instynkty i drogą mu być zaczyna ta ziemia ojców, drogą tem więcej, że poniosł dla niej taką ofiarę, bo poświęcił poemat życia, marzenie miłości i karierę artysty śpiewaka, a więc sławę, sławę, to dusz mocarstwo, to królestwo Boże na ziemi.

Majątek znalazł odłużonym i zrujnowanym. Od pierwszego dnia spadły na niego kłopoty. owce padały, dach na stodole się zawalał, robotnik był nieopłacony, podatki zaległy. Ale on to wszystko przyjmował chętnie a ramiona i nawet na żonę, na której się wprawdzie zawiódł bo nie przyniosła mu ona tyle w posagu na ile rachował, ale dzięki której mógł choć trochę zaległości uiścić, zaczął przychylniej spoglądać.

Co więcej, młoda małżonka ze swą anielską dobrocią, świeżością i wdziękiem, ze swą słodką i ładną twarzyczką wydała mu się tak miłą. Jak miłym jest: spokój po walce, wiosna po zimie, radość po smuku, promień słońca po zmroku.

Pracy oddał się całą duszą. Za interesami jeździł, z żydami się układał, ostatni z pola schodził, a pierwszy na stanowisko wracał.

Nie lubili go jednak sąsiedzi, bo był ponury i w sobie zamknięty, nieufnie spoglądali włościanie, więc choć im nieraz w pomoc czynem, słowem lub datkiem przychodził, nie mogli darować mu tej twarzy, co nie miała dla nich ani żartu ani uśmiechu.

A on chmurniał i zamykał się w sobie coraz więcej.

Z początku było trochę inaczej. Sokolnicki ludził się, że potrafi ze swej Bohatyrki zrobić jaką Owenowską Mullenare w minaturze. Marzył o ochronie, szkole, szpitalu, o dopuszczeniu robotników do udziału w zyskach, o tantjemie, emeryturze, o schłodnych dla nich domkach na tle zieleni ogródków, o szkole koszykarskiej, nawet o warsztatach tkackich. Ale niebawem poznał że to są szalone marzenia, które prócz innych przeszkód rozbijały się przedewszystkiem o brak środków materyalnych, a nawet o ludu ciemnotę.

Więc z każdym dniem żegnał swe piękne marzenia i z buntem w duszy wszystkie swe intelektualne zasoby kładł na kombinowanie płodzmianów i obracanie się wśród ciągłych termi-

nów, spłat, rat i zaciąganie długów, które wciąż progresywnie wzrastały.

W początku wtajemniczał żonę w swoje plany, ale ona go słuchała jak dziecko, które się cieszy, że ludzom będzie dobrze, lub jak niewolnica, która podziwia wspaniałomyślność swego pana, ale nie jak człowiek, który to potrafi przetrwać i dopomódz i pojąć, a on nie znajdując w niej oparcia, a niedbając o jej podziw, zamykał w sobie nadzieje i zawody.

Prowadził ją też nieraz do lasu i on artysta, marzyciel, esteta ukazywał jej cudną grę barw, kształtów, ruchu, całą gamę tonów, cieni, światła, drgań, które on widział okiem artysty, ale dla których ona nie miała zmysłu.

Więc dziwił się temu i ubolewał nad jej upośledzeniem i kalektwem, jeszcze głębiej tem dotknięty i zawiedziony. Dziwił się, jak można nie rozkoszować się barwami, gdy on mógł żyć niemi.

— Jakto?!—wołał oburzony—ty tego nie widzisz, ty tego nie czujesz?

— Owszem—odpowiadała nieśmiało — tu jest bardzo ładnie... bardzo... ale...

— Bardzo ładnie, bardzo ładnie — powtarzał z przekąsem—nie, to więcej niż banalne.

— Niema się znów czem tak dalece zachwycać—ośmieliła się raz wtrącić, ale wnet spojrzawszy na niego urwała wystraszona

Jemu bowiem na te słowa wrażliwa twarz zaczęła się mienić i jął mówić w uniesieniu.

— No daruj, ale podług mnie człowiek do którego piękno przyrody nie przemawia, nie wart że żyje. Ty byś nie pojęła estetyków, którzy twierdzą: że poczucie piękna jest ważniejszem w rozwoju organizmu niż np. poczucie sprawiedliwości. Naturalnie jest w tem trochę przesady, bo wszak sprawiedliwość jest pięknem. Dziwi mnie tylko, że nie jest ona atrybutem Boga. Ten Bóg zwany Sprawiedliwością wykluczył ją ze swego dzieła stworzenia. Walkę o byt i nieublagane deptanie słabszych wskazał nam w przyrodzie. Czyż nam tego nie dowodzi każde z miliona tych stworzeń igrających w promieniach słońca? Patrz—że czy znajdziesz gdzie większe i bardziej wyrafinowane okrucieństwo. A jednak ja nawet zlorzcząc Mu, wielbię Go, bo i w tem dziwnym okrucieństwie tkwi harmonja.

Ona wtedy milkła strwożona, że ośmieliła się mu zaprzeczyć i podrażnić, a on zdenerwowany myślał

— Nie, nie, ona nie będzie odpowiednią mi towarzyszką, ona nie podzieli moich dążeń, nie odczuje upodobań moich. Ona nie może mi być współpracownicą, światłem mojem i natchnieniem mojem.

I dziwił się, że gdy jej czyta rzeczy poważne, podnosi kwestye, które każdego człowieka obchodzić muszą, a które tak porzywały jego kolegów, ona nad nimi niezastanawia się i nie kwestyonuje, a słucha jakoś pokornie i bezdusznie, a gdy jej mówi o przedmiotach do których palą się oczy młodych, na jej twarzy maluje się tylko podziw dla jego słów, dla jego rozumu.

Więc urywał i patrzył się na nią ze zdumieniem a zarazem z przykrością i mówił, składając książkę z ironicznym, gorzkim uśmiechem:

— To się na nic nie przyda. Ty nie masz gotowych związków osocyacyjnych ani ośrodków wywiezionych w tym kierunku i dlatego tych rzeczy do świadomości swej przyjąć nie możesz. Czy ciebie niczego nie uczono i czy wogóle nad niczem się nie zastanawiałaś?

A widząc jej zmieszanie, dodawał.

— Należało by zacząć twą naukę od podstaw, ale ja nie stworzony na pedagoga. Nie smuć się, bo zresztą to nie twoja wina. Nie znam kobiet, ale zapewne wszystkie są dziećmi, które się mierzy tylko stopniem urody. Ostatecznie tyś więcej warta od innych, boś ładna.

(Dalszy ciąg nastąpi).



OR-OT.

(ARTUR OPPMAN).

Luźna krytyka *).

Podezas, gdy na szanicach Krakowa rozbrzmiewają hasła modernistyczne, gdy Stanisław Przybyszewski wraz z całą tak zwaną Szkołą Krakowską stara się znaleźć klucz złoty, klucz, któryby pieśni dekadencjonalnej otworzył na ścieżkę serca współczesnych, zmusił ich do uznania tej pieśni, jako jedynej, mającej rację bytu, gdy całe zgraje pieśniarzy, grając lub brzdąkając tylko na harfach swoich, chcą przemówić do tłumów i wieść je za sobą, podczas, gdy ta walka nie wróży pomyślnego końca, jak dotąd przynajmniej, harfiarzom Krakowa, — to pośród nas mamy poetę, który pieśnią swoją, bardzo prostą i rzewną, pozbawioną zgoła nadzwyczajnych efektów wzrusza te tłumy ludzkie, porywa je i uprowadza ich dusze w stronę, gdzie wiecznie świeci Słońce Prawdy, w krainę świetlaną Idealu, Piękna i Dobra.

Tym poetą dziś już dużą moc nad sercem ludzi mającym, jest Or-Ot.

Or-Ot jest dzieckiem Warszawy. Urodzony w r. 1867, od 16-go roku życia pracuje już na niwie poetyckiej, a owocem tej pracy są następujące zbiorki: „Poezye” (1888), „Na obcej ziemi” (1891), „Pieśni” (1894), „Nala” „Wiosenne kwiecie” (1896), „Lećcie pieśni” (1897) oraz świeżo wydany „Wybór poezji” (1900 r.).

Lutnia śpiewacza Or-Ota posiada strun bardzo wiele: jednakowo pięknie nuci na niej poeta piosnkę z ludowych tematów wysnutą, lub z pod serca wyśpiewaną legendę własnych umiłowań, jak żart rubaszny, starszylachecki lub Heinowski, złością zaprawny, fragment. Umysł autora posiada do pewnego stopnia skłonność elektryczną, o różne ociera się kierunki, o najrozmaitsze dziedziny idei potraça. Największy wpływ wywarł nań Słowacki, ten najgenialniejszy przewodnik duchowy całego pokolenia współczesnych poetów, a po Słowackim—Asnyk. Wraz z nim Or-Ot zasłuchiwał się w poszumy średniowieczne, wraz z nim walczył z tłuszcą ludzką o ideały duchowe, bój toczył zacięty z ciemnością, z błotem ziemskim... Za przykładem Elego uśmiechać się on umie sceptycznie, potrafi być refleksyjnym... Sam poeta wie o tem dobrze, w wierszu p. n. „Asnyk” wyjaśniając potrosze, czemu tak przejął się ideą nieśmiertelnego twórcy „Kiejstuta”:

„Postaci jasna! znałem cię! dziś jeszcze
Twarz widzę twoją, dobry głos twój słyszę
I piersi zapału podnoszą mi dreszcze
I znów się anioł nademną kołysze,
Jak wówczas, kiedy w wieczór śniegiem

[biały,

W ciebie zapatrzył, zasłuchiwał się cały,
I nie zapomnę nigdy tej godziny
I tej rozmowy, ducha wielki, z tobą!
A kiedyś odszedł do cieniów krainy,
To serce moje, owiane żalobą,
Smutne, lecz dumą wyskrzydła się świetną,
Żem ścisnął niegdyś twoją dłoń szlachetną!

Blizkie obcowanie z Asnykiem nie pozostało więc bez wpływu na Or-Ota: oprócz wyżej wymienionego pasma pokrewieństw duchowych z tym wielkim pieśniarzem, Or-Ot spotyka się z nim jeszcze na jednym punkcie: równie jak twórca „Kiejstuta” ukochał on nadewszystko przeszłość, dawno minioną, dawno zmarłą, przez niektórych

nawet zapomnianą i — odświeża ją po swojemu w pamięci współczesnych.

Posłuchajmy, jak sam poeta mówi o tem w swoim prześlicznym „Ofiarowaniu do cichej, serdecznej towarzyski swojej smętnej doli śpiewaczki”:

...W okół nas dumne piętrzyły się domy,
Kędy garść wspomnień wiek po wieku składał
I duch przeszłości dla nas był widomy,
I każdy kamień do serc naszych gadał...

Pleśń starych tynów, srebrnej Wisły szumy,
Serc prostych wiara, dusz pogoda grecka,
Od dziecka w pierś mą tchnęły złote dumy,
I duszę moją urzekły od dziecka.

Gdy w walkach bytu marnych, a szalonych,
Było nam duszno i ciemno, jak w grobie,
W tym dobrym świecie, świecie lat minionych,
I ty, jedyna, podobalaś sobie!

A kiedyś w pieśni wskrzeszał dzieje stare,
A kiedyś budził dawno śpiących cienie,
Jam z ciebie czerpał tę słoneczną wiarę,
Jam z ciebie czerpał prawdę i natchnienie!

Tętniące prostą nutą staroświecką,
Napoly tęskne—wiesz, po kim i czemu!
Te pieśni moje, ja mieszczkańskie dziecko,
Poświęcam tobie, dziecku mieszczkańskiemu!

Przytoczyliśmy ten cały urywek, nie tylko dla tego, iż jest on niezwykle piękny, ale i dla tego także, że potroszę znajdujemy tu wytłumaczenie, czemu poeta tworzy takie pieśni, jak „Stare Miasto” i „Warszawa w rymach...”

Oto przed wzrokiem jego duszy wstaje przeszłość w całej swej potędze i krasie, bo wstawać musi, bo nietylko dzieciństwo, wśród starych murów spędzone, ale nieublagana konieczność dziejowa, ale owa iskra Boża, co się żarzy w jego duszy, każe przecie wracać myślą do dawno minionej epoki, której ostatnie słońca zgasły przy jego zórz rozświecie, do tych „cichych ludzi”, którzy dziś, jeśli są jeszcze, to żyją tylko wspomnieniami przeżytej doby; każe mu trwać w odmęcie życia z twarzą, odwróconą na przeszłość. Czar tej przeszłości owionął jego duszę, a zarazem wlał w nią nieukojoną nigdy tęsknotę za tą minionych lat doba... To też z bolesnym uśmiechem spogląda dzisiaj poeta na te zaułki miejskie, wśród których snują się jeszcze, zda się, dawno stracone z oczu cienie..

Poeta patrzy długo, długo, dopóki nie znikną mu z oczu, a potem przywołuje je wszystkie i zaklina w pieśń serdeczną, „tętniącą prostą nutą staroświecką”, nad wyraz prostą, nad wyraz piękną w tej prostocie... I „wskrzesza w pieśni dzieje stare” i opromienia te „dawno śpiących” postacie takim łagodnym, takim cichym, takim serdecznie ciepłym promieniem swego uczucia, oświetla je tak słońcem swej poezji, że wstają one przed nami, jak żywe, a takie piękne, że mimo-woli lżę rozrzewnienia budzą, a w sercu rozniecają ogień tego samego uczucia, jakie ma dla nich pierś poety...

Tak powstają, strząsając z siebie proch zapomnienia, tego rodzaju typy, jak „szewc Onufer, tegi majster”, co „z ojca, dziada i pradziada, od małego pacholęcia tajemnicie kunsztu bada”, jak „konsyliarz mieszczkański, dwóch imion: Barnaba-Walenty”, którego „zna ludność uboga i słaba”, gdyż ma on dla niej „na ścieżkach otwarte serce”, jak Roch Denat, Skrybent mieszczkański”, co, spędziwszy życia trzy ćwierci w sławetnym rodzie Szelągów, gdy wielka fortuna tychże „jak inne, poszła na marne”, wziął pod swą opiekę wnuka dobroczyńców swoich... „haruje Denar dla Janka, co jest mądry i śliczny, za dziesięć złotych na miesiąc uczy go student medyczny...”

I, by wnuk nie zapomniał o tem, iż z gniazda szlachetnego jest rodem, opowiada mu Denar „jaki to sklep był Szelągów, jaki ich ród był wspaniały, jakie to w domach mieszczkańskich wielkie dostatki bywały...”

Typy to ginące, lub zaginione, lecz w pamięci naszej trwać one będą długo i nieśmiertelnie, dzięki temu właśnie, iż wskrzesza je i ubiera w czarowną szatę tak zdolny pisarz jak Or-Ot...

I ten „Stary aktor”, co „bogaty w wspomnieniu sukcesów, ubogi na punkcie sakiewki” zamieszkał na starość w izdebce laciarza i sam został laciarzem, i ten „ksiądz kanonik Kropidło, kapłan siwy i stary”, co „zna dolę — niedolę staromiejskiej swej dziatwy”, postać tak piękna, tak promienna, czysta, szlachetna, a zarazem, jako typ, w poezji jedyna może w swoim rodzaju, i ten „Kacper Dławiduda, wysoki na trzy łokcie, ale za to, jak śmierć chudy, co dzwonnikiem jest u Fary i ten pan Bartłomiej z panią Maciejową” — wszyscy oni przesuują się przed oczyma naszymi, przechodzą obok nas, długim ciągnąc się szeregiem, i znikają gdzieś w mgłę przeszłości, w bezmiarze wieczności nie ogarnionym — ale są to postaci tak plastycznie, z taką siłą, miękkością i lubością zarazem odtworzone, że mimowoli i nas ogarnia wzruszenie na myśl, że już ich nie zobaczymy nigdy, nigdy, że przechowują się one w naszej tradycji już tylko...

Tak samo szczerze, z takim samym wdziękiem maluje nam Or-Ot słoneczne obrazki „Za króla Stasia”, a wsłuchawszy się znowu w szum srebrnej Wisły, przynosi z nad jej brzegów, krążącą wśród ludu Powiśla czarowną baśń, złotą legendę miłości „Księcia Pepi, Słońca salonów do kwiatu Powiśla, skromnej rybaczki...”

Cicho fała się skarży i zali,
Cicho szumi tatarak nadwodny,
Pochyliły się drzewa w oddali,
I przeleciał z za rzeki wiatr chłodny;
Księżyc pasma srebrzyste rozłina
I śmieje się, i czuwa na straży...
Czegoś płacze rybacka dziewczyna,
Księżę Pepi coś дума... coś marzy...
Czy go anioł potracił skrzydłami
I dalekie pokazał widziadła?
Czy ta przyszłość, co jeszcze za mgłami,
Gdyby kamień na duszę mu padła?
Czy Elstera błysnęła mu sina,
Że lza w oku, a uśmiech lśni w twarzy?..
Czegoś płacze rybacka dziewczyna,
Księżę Pepi coś дума... coś marzy...

Tą samą melancholją i tęsknotą przeszłości owiane są „Reduty”.

Zbyt wrażliwą miał Or-Ot duszę, nazbyt jest poetą, i nazbyt ukochał przeszłość, ażeby słońce Napoleońskie nie miało promieniami swemi do głębi jego duszy przeniknąć, aby postać bohatera z pod Austerlitz nie wstała przed jego wzrokiem i nie natchnęła go kilku pięknymi pieśniami...

I oto mamy „Berezynę”, która odtwarza wrażenie jakie na pocię wywiera obraz przeprawy, straszliwy, wspaniały w swej grozie, „Berezynę”, gdzie Or-Ot z siłą i rozmachem kreśli wizerunek Napoleona:

I tylko jedna postać rycerska i dumna
Będzie stać, jak kamienna, a żywa kolumna!
I tylko jedna postać wytrwa aż do zgonu
Przy huku piorunowym ginącego tronu!
Z szablą świszczącą, w burce zwisającej

[z ramion!

Polecą po śmierć jasną za gwiazdą swych

[znamion!

A potem — duchem czystym — na błękitów progę
Stanie, by swój ostatni raport złożyć Bogu!

*) Z powodu świeżo wydanego „Wyboru poezji”.

W „wyborze poezyi” znajdujemy prócz tego jeden z najpiękniejszych utworów jego pióra, malujący również epokę Napoleońską i samego Cesarza—a jest nim „Bonaparte”.

Widzieliśmy jakie obrazy wywołał Or-Ot z przeszłości: widzieliśmy, jak stare malowidła, wyblakłe i kurzem pokryte, odżyły pod jego pędzlem; wiemy już, że tą mocą, co im kazała na nowo czuć, cierpieć i kochać, co w ich zmartwiałą istotność wlała na nowo życie, tchnęła duszę — jest moc miłości, moc wielka i święta, jaką pała serce poety. Powrócimy jeszcze do tych pieśni i do tych postaci, a teraz przejdźmy do lirycznych, czysto osobistych, najbardziej szczerych utworów Or-Ota. Mamy ich mnóstwo, zarówno w „Wyborze”, jak i w całym szeregu poprzednio wydanych tomików, a składają się na nie zarówno cykle: „Dusza i zmysły”, „Na szarą godzinę”, „Wiersze różne”, „Bliskiej... dalekiej” i najpiękniejszy z nich „Pamiętnik”, jak i pomniejszych utwory, gęsto rozrzucone po czasopiśmie.

Rozpatrzmy przedewszystkiem cykl „Pamiętnik”; zawiera on tyle ślicznych pereł, poezyi, że godzin jest stanąć obok najpierwszych liryk polskich, zarówno ze względu na doskonałą, zawsze indywidualną formę, jak na szczerze uczucie. Cykl ten zawiera: „Tajemnicę”, „Choćbyś za życia”, „Serce”, „Okłamywanej”, „Po bezmiernym, po pustym odmiecie”, „Bądź wymazaną...” „Cień”, „Rozrzuciłem szczerze serca złoto” i nie pomieszczone w „Wyborze” wiersz: „W mgłach wilgotnych gaśnie dzień”.

Umyślnie na końcu wymienilem tytuły czterech najlepszych rzeczy w tym cyklu, chce bowiem o każdym z tych utworów powiedzieć słów parę. Zaczniemy od ostatniego, zdaniem naszym, najpiękniejszego. Maluje on nam stan ducha poety, gdy tenże, zmuszony walką z losem, zapatrzonej w gasnące gwiazdy natchnienia, zapada w melancholijną zadumę, w cichą rezygnację; oto ten wiersz w całości:

W mgłach wilgotnych gaśnie dzień,
Po konaniu krótkim—
Na mą duszę pada cień
Z beznadziejnym smutkiem..

Serce tłoczy ciężki głaz,
Jedną śmierć go zwali,
Do odlotu czas mi, czas...
Ktoś mnie woła w dali.

Takbym chętnie odszedł ztąd,
Po wędrowną złudną,
Na daleki jakiś ląd,
Pusty i bezludny.

I trujących zbył się skaz
W zapomnienia fali—
Do odlotu czas mi, czas...
Ktoś mnie woła z dali.

Od zacisznych swoich chat
Po wyśnioną zorzę,
Gdzieś tam ślepcy biegną w świat...
Szczęść im, Panie Boże!

Mój promyczek w łzach mi zgasł,
Niech się innym pali...
Do odlotu czas mi, czas...
Ktoś mnie woła z dali.

Żegnaj, cierniu moich dróg!
Pora mi cię rzucić...
Choćbym sen mój wskrzesić mógł,
Jużbym nie chciał wrócić...

Ach! żyć dosyć jeden raz
Tym, co zbyt kochał.

Do odlotu czas mi, czas...
Ktoś mnie woła z dali.

Obok czaru melancholji, jaki owiewa tę pieśń jest w niej cicha, łagodna rezygnacja i — rys znamieny u Or-Ota—serdeczne życzenie, aby inni, idąc ścieżką ciernistą, po której on krocząc zakrwawił serce, znaleźli na niej to, czego on nie znalazł—szczęście...

Inaczej mówiąc, Or-Ot słowami „Mój promyczek w łzach mi zgasł, Niech się innym pali, chce wyrazić to, co Asnyk wypowiedział w wierszu: „Nie mów, gdy będziesz wzdychać z pragnienia, że wszystkie źródła wyschły już bijące, tyś gonił pustych piaszczystych złudzenia, a mi nał strumień na zielonej łące...”

Wie on, że droga, którą szedł, trudna jest do przebycia, wie, że sam upaść musiał, ale wierzy, że inni dojdą tam, dokąd iść on zamierzał i mówi, bez cienia zazdrości, bez żalu, z rezygnacją: „Szczęść im, Panie Boże!”

Ten optymizm, ta pogoda w najcięższych chwilach nawet nie opuszcza Or-Ota, a zarazem wyróżnia go z pośród całego szeregu poetów współczesnych i zapewnia mu pomiędzy nimi całkiem, odrębne stanowisko. Być może, że są równi mu talentem, są może wyżsi — serdeczniejszego, sympatyczniejszego, więcej zasługującego na uznanie, na miłość współbraci—niema. Duch jego, pogodny, świetlany, ma w sobie tę moc wielką, wlewania otuchy do serc stroskanych, których „na świecie lka wiele, wiele...”

Pesymizm, uwydatniający się w takich utworach jak np. „Rozrzuciłem szczerze serca złoto” nie truje, nie zabija ducha współczesnych... Zwyczaj, jest to — jak w poprzednio przytoczonym urywku — cicha, łagodna rezygnacja. Poeta boleje nad tem, że „tych pereł uczuć”, które „padały nieodezute w błoto”, nikt mu nigdy nie powróci już”, lub nad tem, że pomiędzy nim, a „szczęściem stoi wiecznie jakiś uparty cień („Cień”). Rzadko bardzo rzeczywistość szara i wstrętna, życia brud i jego nędza, budzą w jego duszy krzyk grozy i rozpacz, lub beznadziejnym napawają go zniechęceniem. A wtedy powstają takie cykle, jak „Dusza i zmysły” (choć i tu nie brak wiersza „Rezygnacja”), zawierające tak piękne, jak „Zniechęcenie” i „Krzyk” utwory...

Życie pełza, jak gad,
Dzień się wlece po dniu,
Przeraźliwie jednaki i szary...
Mgłą przesłonił się świat
Nic, prócz bólu i snu
I codziennych łosk lichych ofiary!

A świadomość wciąż trwa,
Że się gnije, jak trup,
Że tu próżno i tęsknić i czekać!..

Więc duch poety, nie mogąc znieść tej gniożącej go bez ustanku szarzyzny życia, woła rozpaczliwie:

Dajcie skrzydła mi dwa!...
Nim położę się w grób:
Chcę uciekać! uciekać! uciekać!
(„Krzyk”)

Ale wróćmy do pozostałego nam jeszcze wiersza: „Bądź wymazaną życia mego karto!” Jest to jeden z najbardziej osobistych, a zarazem najpiękniejszych utworów Or-Ota: tyle w nim dźwięczy siły i szczerego uczucia, taka chęć zapomnienia, wyrwania z pamięci tej karty życia, pisanej raz w piekle, raz w niebie...”

...A jednak trzeba duchem tak zогromnieć,
By wszystkie ziemskie pragnienia odegnać,
Choć pożegnanie gwałtem jest! —pożegnać!
Choć zapomnienie śmiercią jest! —zapomnieć!

...Woła z głębi rozdartego serca poeta, wznosząc się w tej strofie na wyżyny prawdziwej poezyi. Or-Ot stworzył wiele utworów, mających niezaprzeczone prawo do nieśmiertelności; w ich szeregu — „Pamiętnik”, jako cały cykl utworów, ściśle z istotą pieśniarza związanych, malujących nam szczerze stan jego ducha, jako księga pieśni, ociekających krwią serdeczną i łzami, najwybitniejsze zajmuje miejsce.

Śpiewak tej miary i z takim sercem, jak Or-Ot, nie mógłby błąkać się po manowcach życia, gdyby mu nie przyświecała jaka gwiazda złota, przewodniczka doli... Jest nią dla poety gorąca wiara w Boga, jak również wiara w świętość swego celu, w potęgę pieśni..

...Ja wierzę w pieśni tych moc! Wiem, że jest
[śpiewać dla kogo!

Na świecie wiele lka serc, co bólów wyznać
[nie mogą!

Dla takich stroskanych serc, jak balsam, pieśni
[są zdroje:

Więc inni cierpią, jak ja? Oto lzy tu znaj-
[duje moje!

A gdy wyśpiewam, com czuł, spełnieniem pra-
[gnień swych dumny,

Będę już czekał na śmierć, spokojny pójdę do
[trumny,

Z uśmiechem pożegnam świat dla strony nie-
[znanej, dalekiej,

Wiedząc, że będę tu żył; w pamięci żył ludz-
[kiej... na wieki!..

(Pieśń—mężczyństwo).

Co do wiary w Boga, to posiada Or-Ot ową „sere prostych wiarę”, ową wiarę „ludzi cichych”, których tak ukochał... A wiara ta uwydatnia się w wielu jego poezyach, jak np. w podniosłej pieśni: „Chrystus cudowny”.

Mówiliśmy już o tem, jaką siłą wyróżniającą Or-Ota z pośród rówieśnych, jest owa miłość dla „biednych, zapomnianych braci”, jego pogoda ducha — drugą niemniej ważną, odrębną cechą jego poezyi jest owa szczerść i prostota, ujawniająca się w każdym utworze autora „Starego Miasta”. Zjednywa mu ona serca maluczkich tego świata, i podbija serca ogółu.

Nie olśniewa szata zewnętrzna jego poezyi, przepychem barw, a mimo to uderza mile oko i przykuwa je do siebie... Rytm Or-Ota zawsze oryginalny i piękny, melodyjność należy do cech jego wybitnych.

Dla przykładu przytoczymy tu dwie strofy z wiersza „Marzenie”, gdzie autor mówi:

Nim na cichy pójdę sen,
Bez poranków i bez zórz,
Niech powróci anioł ten,
Mej młodości anioł stróż...

Na przeczytej drogi cień
Zapomnienia rzuci kwiat,
I na jeden krótki dzień
Wskrzesi wiosnę moich lat.

Niech, jak dawniej, wierzę znów
W idealny życia cel,
W nieśmiertelność ludzkich snów,
W dusz niewieścich jasną biel.

Niech na błękit duch się rwie,
I oddycha pełnym tchem,
Marzycielsko ludząc się,
Że sen szczęścia—nie jest snem!..

Or-Ot nie wchodzi na szczyty, jak to czynią dziś niektórzy poeci, zbyt mali, ażeby z ziemi